

SYN UMIŁOWANY

(1)

Chciałbym podzielić się moim świadectwem: jak Bóg przyszedł do mnie. Urodziłem się w rodzinie uważanej za katolicką. Otrzymałem wszystkie sakramenty. Od dzieciństwa Bóg był mi przedstawiany jako sędzia, który karze za nasze złe uczynki, a za dobre wynagradza. Budził we mnie bardziej lęk aniżeli miłość, bo nigdy od Niego nic dobrego nie dostałem (tak mi się wtenczas wydawało), a życie moje nie było szczęśliwe. Odkąd pamiętam, mój ojciec nadużywał alkoholu. Często z tego powodu wybuchały w domu kłótnie, awantury. W wieku około 5 lat przglądałem się rodzinom moich rówieśników z tak zwanych „normalnych” rodzin i zapragnąłem mieć właśnie taką kochającą się rodzinę. Babcia mówiła mi, że Bóg może spełniać nasze prośby, więc prosiłem go sercem dziecka, aby ojciec przestał pić, aby nie było kłótni w domu, aby tata był ze mną, abym był kochanym dzieckiem. Niestety, po paru moich modlitwach zobaczyłem, że nic się nie zmienia: ojciec jak pił, tak pije, bieda – jak była, tak i jest itd. Wniosek przyszedł szybko: Bóg mnie nie słucha. Bóg nie spełnia prośb, Bóg się mną nie interesuje, Bogu też na mnie nie zależy. Bóg jeśli jest, to mało go obchodzi. Muszę sobie radzić w życiu sam i nikogo nie potrzebuję.

Komunię św. i sakrament bierzmowania przyjąłem bez wiary, bez wewnętrznej potrzeby oraz wiedzy, o co tak naprawdę chodzi w przyjmowaniu sakramentów. Inni je przyjmowali, to ja też, właśnie żeby nie być innym. Moje serce wcale do Boga się nie zbliżyło i zdanie o Nim pozostało podobne jak w dzieciństwie. Jeśli chodziłem do kościoła, to pod przymusem katechety, nakazu mamy, bojaźni przed karą Bożą, a nie z własnego wyboru. W kościele czasem byłem (dla tradycji), ale na Mszy św. raczej myślałem nieobecny.

Tak mijały lata bez Boga, bez spowiedzi. Ożeniłem się, mamy dwójkę dzieci. Otrzymałem zatrudnienie w swoim zawodzie, układało się nam wspaniale, ale do czasu. Spotkałem kiedyś czło-



wieka z innej kultury, który zapytał się mnie, czy wierzę w Jezusa i czy jestem katolikiem. Trochę zaskoczony pytaniem, trochę przestraszony, na dwa pytania odpowiedziałem negatywnie – zaparłem się Boga. Po chwili pomyślałem, ale „ze mnie żenada”, nawet nie przyznałem się, że jestem ochrzczony, po Komunii, bierzmowany, mam ślub kościelny. I od tej chwili, z perspektywy czasu dostrzegam, że Jezus wziął się za mnie. Wspaniała praca, którą miałem od kilku lat (prestizową, dobrze płatną i nie męczącą), straciłem w jednej chwili (podczas nieobecności urlopowej). W gospodarstwie domowym zaczęło nam brakować pieniędzy. Aby żyć na dotychczasowym poziomie, zaciągnąłem ogromny kredyt, którego nie mogliśmy spłacić. Po pewnym czasie pieniądze się skończyły, ogromny dług został. Nie widziałem wyjścia z sytuacji, nawet małego światełka.

Pewnego wieczoru kupiłem alkohol, aby się upić. Miałem nadzieję, że smutki może staną się lżejsze do zniesienia. W domu byłem wtedy sam, drzwi były zamknięte. Po upiciu się, w mojej głowie pojawiały się myśli koszarne. Zły duch zaczął mi przypominać wszystkie tragiczne momenty w moim życiu. Jakby patykiem rozdrapywał zagojone, zapomniane rany. Przypominał sytuacje z mojego życia, aby pokazać, jaki jestem: do niczego, nie kochany, wyśmiewany, nie potrafiący wyżywić rodziny, niechciany, nic dobrze nie potrafiący zrobić, bez talentów, jedno wielkie dno, nie zasługujące na cokolwiek miłość lub szacunek. I ja w głębi serca przyznawałem temu rację. Powodowało to ogromny ból duszy, taki ból, że jedyną ucieczką od niego wydawała się śmierć, a właściwie pewność, że śmierć to najlepsze rozwiązanie. Zacząłem robić wyrzuty Bogu, bez nadziei, że mi odpowie:



Dlaczego moje życie jest takie popaprane? Nie takie, jak mają inni, nie takie jakbym chciał, zawsze pod górę. Nie było odpowiedzi. Po około godzinie takich rozmyślań i płaczu byłem zdecydowany. Wstałem z wersalki i poszedłem do kuchni, aby poszukać sznurka, paska, może odkręcić gaz. Wiedziałem, że nie chcę żyć. Miałem 38 lat.

Była sobota około godziny 23:00. W drodze z pokoju do kuchni zrobiłem kilka kroków. I nagle... potężny ocean Miłości ogarniał moją duszę i wlewał się do niej. Światłość niepojęta, wszędzie, tak ogromna, że powinna razić, a nie raziła, parzyć, a nie było mi wcale gorąco. W życiu nie było mi tak dobrze. Wiedziałem już: To Ty jesteś, Jezu. Istniejesz naprawdę. Myślałem, że Ciebie nie ma, może żyłeś kiedyś, ale nie dziś. Nie wierzyłem w Twoje istnienie tu i teraz, wiesz przecież. Teraz dusza moja wie i pragnie być jak najbliżej Ciebie, w Tobie, poznać Ciebie. Tu padły słowa, których nie zapomniałem do końca życia. Były to słowa Jezusa: *KOCHAM CIĘ* (ciepły, męski, spokojny głos). Wielka fala miłości spłynęła na mnie. Poznałem ogrom miłości Boga do mnie. Miłość zalała całą moją duszę. Rozpłakałem się. Łzy wylewały się ze mnie strumieniami. Jezus dał mi zobaczyć swoją duszę. Zapytałem Jezusa. – *Mnie? Za co mnie możesz kochać? Nędzny, marny jestem, Ty wiesz, jaki jestem. Nie jestem godzien Twojej miłości. Nie jestem godzien kochania.* Poczulem uderzenie, strumień miłości bezinteresownej, pełnej akceptacji, bezwarunkowej, za nic, od zawsze i na zawsze. Zobaczyłem małe nierozzerwalne strumienie (miłości, opieki) wychodzące ze światła Jezusa do każdego człowieka i poczułem, że Bóg sam opiekuje się każdym człowiekiem i każdego bezgranicznie zna i kocha. Po odczuciu bezwarunkowej wielkiej miłości moje nastawienie do

mojej osoby się zmieniło. – *Skoro jesteś i mnie kochasz tak wielką miłością i jest mi tak dobrze z Tobą..., to ja już nie chcę sam sobie odbierać życia, nie ma już we mnie takiej woli (jakby nigdy nie było), ale chcę być z Tobą na zawsze, zawsze przy Tobie, zabierz mnie z sobą.*

Już wiedziałem, że Jezus jest, żyje, jest Miłością i najlepiej zajmie się moją rodziną, nie odczuwałem żadnego lęku, żalu, że zostawię bliskich na ziemi. Wręcz przeciwnie cieszyłem się, że Bóg się o nich zatroszczy w najlepszy dla nich sposób. Była chęć odejścia, ale motyw był już inny, nie chciałem odchodzić z tego świata, bo mi tak źle, ale chciałem odejść, bo jest mi tak dobrze z Jezusem. A może nie tyle odejść z tego świata, co wrócić do Ojca, do domu. Bo tam jest mój dom, moje miejsce. Nie jestem z tego świata.

Jezus (myśl w mojej duszy; z Bogiem można rozmawiać bez słów):

– *Znajdziesz mnie w Kościele i w Moim słowie, nie zostawię cię sierotą, jestem zawsze przy tobie. Teraz wiesz, że Ja jestem zawsze przy tobie i zawsze cię kochałem, Kocham i będę kochał.*

– *Zapytałem: W Kościele mam Cię szukać? Ci księża są tacy... no, wiesz jacy... nie lubię ich, denerwują mnie, zawiodłem się na nich.*

Jezus: *Choćby wszyscy kapłani na świecie cię zawiedli, wiedz, że Ja Jestem najwyższym kapłanem, a Ja nigdy nie zawodzę. Za kapłanów się módl, bo są ukochanymi duszami Moimi. Wiedz, że mają dwa razy więcej pokus niż Ty.*

– *Panie, widzę swoją duszę i wiem, jaka jest. Ale stojąc przed Tobą w oceanie Twojego pokoju, miłości i światła, ja, nędznik, chcę być z Tobą na wieki. Prowadź mnie do siebie, do wieczności z Tobą. Nie puszczę Ciebie, będę się trzymał... Twojej nogi. Jakbyś chciał pójść gdzieś beze mnie, nie puszczę Cię, choćby cierpienia moje na ziemi były ogromne, muszę być zawsze z Tobą na wieki, muszę, chcę, pragnę.*

Spotkanie się zakończyło tak nagle jak się rozpoczęło. Nie wiem, ile trwało? Może sekundę, może dwie godziny. Podczas przyjścia Jezusa, wiem, to dziwne, ale nie było czasu. Cdn.

Krzysztof